

Moje spinningowe pudełko

Autor: Jacek Józwiak

Kilka moich ulubionych przynęt, czyli dzielę się z Czytelnikami zawartością swojego pudełeczka. Rebelki, woblerzy z Czarnego, jugolki i salmiaki. Płytko schodzące woblerzy na sumy oraz broń na jesiennego szczupaka na głębokich jeziorach - Luxox i Suisse.

Chciałbym pokazać swoje spinningowe pudełko. Rzecz jasna nie całe, bo gdybym zapakował wszystko, to na pewno nie mógłbym poruszać się po łowisku. Wybrałem moje ulubione przynęty na konkretne pory roku. Może też takie macie? Może ktoś dołączy do mnie i pokaże, na co łowi - wiosną, jesienią, latem, zimą... Bo choć taka klasyfikacja pozbawiona jest sensu - spinningista musi być elastyczny w każdym miesiącu, łowisko, porze dnia - to liczą się w wędkarstwie nasze przyzwyczajenia, ulubienia i nieulubienia. Niekiedy bardziej niż zdrowy rozsądek.

Kilka lat temu wybrałem się nad Wel na małe wiosenne pstrągowanie. W dwustronnie zamykanym pudełeczku miałem większość moich skarbów. Nie byłem jeszcze owładnięty manią kolekcjonerską, nie wydawałem wszystkich finansowych nadwyżek na przynętowe cacka. Zresztą i rynek - mimo pozornej obfitości - nie służył jeszcze tak niewyczerpaną ofertą jak dzisiaj.

Rebelki kupowało się na giełdzie. Pochodziły one wówczas z tzw. importu walizkowego. Pokazywały się także inne maleńkie przynęty amerykańskie, była już obfitość Rapalek, wynaleźć można było cykady, pojawiły się pierwsze woblerzy Veselinowicia.

Takimi właśnie skarbami po brzegi wypełnione było moje pudełeczko. Na dobrą sprawę, warte było ono tyle, co mój kij z połową kołowrotka, a już wówczas korzystałem z zupełnie przyzwoitego sprzętu.

Łowiłem poniżej Lidzbarka, w lesie, gdzie rzeka kręci, pełna jest bystrzyn, zwałowisk i wczesną wiosną gna jak oszalała. Nie jest łatwo utrzymać się na nogach, jeśli wejdzie się po skraj woderów. Dzień był słoneczny, rozleniwił mnie, ruchy moje stały się powolne. Przestało mi się śpieszyć, tym bardziej, że połowiłem. Pstrągi niespecjalnie duże, takie po trzydzieści pięć centymetrów, doczekiwały się amnestii. Niech rosną i cieszą wędkarzy.

Za każdym zakrętem wychodziły do czegoś innego. Można im było kilkanaście razy koło pyska przeciągnąć obrotówkę, w którą uderzył sąsiad kilkadziesiąt metrów wyżej i nawet się nie ruszyły. Dopiero po zmianie przynęty - na przykład na rebelowską krewetkę, wychodziły natychmiast.

Pudełko więc często wyjmowane było z przyciasnej nieco kieszeni kamizelki. Dobre pudełko, dwustronnie otwierane, pakowne, ze sznureczkiem przywiązany do specjalnego oczka. Tyle że sznureczek ten nie był zasupłany na uszku przszytym do kamizelki. Zapomniałem, nie chciało mi się - nie wiem, nie pamiętam. I oto pudełko podczas zmiany woblera wypadło mi z dłoni.

Splęnęło błyskawicznie. Stałem niemal na środku Welu i patrzyłem, jak ucieka za zwałowisko z popróchniałych olch. Spokojnie podreptałem w stronę brzegu. Nie wpadłem nawet w panikę. Wydawało mi się, że dogonię moje skarby z łatwością.

Szukałem pudełka przez kilka godzin, do wieczora. Nie znalazłem. Popłynęło w dół albo zaczepiło w jakimś zasłoniętym miejscu. Strata niepowetowana, tym bardziej że zamierzałem nad Welem pozostać przez kilka dni. Pozostałem, ale łowiłem na wirówki kupione na gwałt w miejscowym sklepiku. A pstrągi - jak na złość - nie chciały bić w tutejsze wzory....

Koniec wstępu - dygresji. Rzecz bowiem nie o moim pudełku ma być, ale o tym, co do niego wkładam. Zima w kropki

Woblerzy z Czarnego... Rarytas na rynku, docierają do nielicznych sklepów, częściej obecne w prywatnej wymianie. Przynęty, które od lat cieszą się uznaniem wśród trociowej i pstrągowej braci. Szczyt wędkarskiego rękodziela. Starannie i z ogromnym wyczuciem projektowane kształty, doskonała obróbka oraz wykończenie. Absolutnie ręczne wykonanie, indywidualne wyważenie każdego egzemplarza i przygięcie oczka... Poezja!

Podstawą woblerów z Czarnego jest przetykana metaliczną nicią tkanina, złocista bądź srebrzysta. Grzbiety pociągnięte warstwą farby - czarnej, grafitowej, granatowej oraz czerwonej i zielonej fluo.

Pojawiają się też "killerki" z pomalowanym na czerwono przodem. Utwardzone wieloma warstwami bezbarwnego lakieru. Dość gruby, starannie wyprofilowany statecznik.

Produkowane w dwóch podstawowych wielkościach, czy raczej rodzajach: pstrągowe (od 3 do 5 cm) oraz trociowe (od 7 do 10 cm). Stateczniki, wklejone najczęściej pod ostrym kątem, zapewniają szybkie i głębokie nurkowanie. Wyjątkiem są niektóre modele pstrągowe przeznaczone na płytkie łowiska.

Akcja mniejszych dość agresywna, na ogół drobna, doskonale wyczuwalna na wędzisku. Niezłe zachowanie podczas prowadzenia przynęty z prądem, świetne podczas rzutów w poprzek nurtu i ciągnięcia pod prąd.

Woblery duże różnią się akcją - zdarzają się arcyagresywne, ale spokojne, płynne, niemal "wijące się" nie należą do rzadkości. Na uwagę zasługują wzory z podwójnym oczkiem - "w dziubku" i na stateczniku. Mają wyraźnie różną akcję i osiągi głębokościowe, w zależności od tego, do którego z oczek przypina sięagrafkę.

Przez nielicznych spinningistów sprawdzone na wodach nizinnych. Tonące trociówki o owej "wijącej się" akcji kuszą jeziorowe szczupaki oraz duże sandacze. Pstrągulki zagryzane bywają przez okonie na starorzeczach i jeziorowych płycznach, na rzekach natomiast stanowią morderczą broń na klenie i jazie. Wiosna z jugolką

Texy pokazały się na rynku kilka lat temu. Po niezbyt udanych (problemy z wyważeniem) "dziobakach", puławska firma przygotowała miłą niespodziankę dla spinningistów. Pięciodziesięciocentymetrowe woblery "Bosman" bardzo udatnie naśladują akcją popularne jugolki. Interesujące rozwiązanie konstrukcyjne - rolę steru głęboko ści, "krę gośłupa" nośnego oraz obciążenia wyważającego przejęła kształtka wyprofilowana z nierdzewnej blachy. Wklejana jest ona w zgrabny korpus z wypornego tworzywa. Producent pozostawił otwartym rowek, w który można włożyć kawałek ołowianej taśmy i zmienić wersję pływającą przynęty w wobler tonący.

Pływające bosmanki schodzą dość głęboko, mają agresywną, choć drobną akcję, podczas prowadzenia ustawiają się dziobem do dołu, co zmniejsza niebezpieczeństwo zaczepów. Niezłe - choć nie rewelacyjne - pracują podczas ciągnięcia z prądem, natomiast świetnie przy rzutach poprzecznych oraz podczas prowadzenia pod prąd. Nawet w najsilniejszym nurcie nie mają tendencji do wykładania się. Modele tonące gubią nieco akcji, ale wciąż pracują zupełnie przyzwoicie. Można za to rzucić nimi bardzo daleko i prowadzić blisko dna.

Bosmany powinny sprawdzać się podczas polowań na klenie i duże jazie, aczkolwiek chyba tylko podczas intensywnego apetytu tych ryb. Nieprzezroczysta blaszka steru może bowiem znacznie powiększać optycznie tę przynętę. Lecz co dla jednych ryb może być defektem, dla innych staje się korzyścią - texiki dzięki tej "optycznej wielkości", gwałtownemu nurkowaniu, dobrej pracy "z zatrzymaniem w nurcie" powinny wabić sandacze oraz brzany.

Niestety, od dwóch bodaj lat texów nie widać. Trzeba było wrócić do źródła i korzystać z jugolek oraz - to oczywistość - z Hornetów Salmo. Przynęty te, choć podobne w kształcie, mają odmienną akcję. Jugolki bardzo drobną, drżącą, migotliwą, Hornety nieco szerszą, powolniejszą, nie tak skrzącą. Ciekawy jest fakt, że na moich jaziowiskach i kleniowiskach wiślanych stosuję naprzemiennie oba typy przynęt. Niekiedy jazie czy klenie atakują chętnie Jugolki, innym razem pasuje im akcja Hornetów. W nocy skuteczniejsze bywają Hornety - z prostej przyczyny, zrobione z niełamliwego tworzywa stery dają się przyciągać bez obawy o złamanie i można je prowadzić tuż pod powierzchnią, a nawet z grzbietem smużącym po powierzchni, czemu jazie nie potrafią się oprzeć. Podobnej operacji nie da się wykonać na statecznikach Jugolek - za to za dnia ich naturalna praca wydaje się dla ryb bardziej atrakcyjna. Letnie sumowanie

Choć spinningiści wciąż idą z osiągnięciami, z postępem i gotowi są łowić ryby nawet na kosmetyki Max Factora, to zwolennicy pocziwych wahadłówek wciąż bywają niepokonani, jeśli chodzi o łowienie sumów. Nie wynika to z generalnej wyższości tej przynęty nad nowocześniejszymi wabikami, lecz z tego, jakie strefy wody wahadłówka odwiedza. Penetruje ona najczęściej przydenną strefę, w nurcie wychodząc w pół wody. To strefa dziennych ostoi sumowych oraz ich krótkich wypadów żerowych.

Spinningiści w większości ograniczają się do łowienia w dzień. Miejsca, gdzie licznie występują sumy, bywają znane dość szeroko. Zdarzają się stanowiska, gdzie przez całe dni lecą na wodę wahadłówki - i niemal codziennie ktoś ma kontakt z dorodną rybą. Interesujący jest fakt, że w takich łowiskach brania

kończą się wraz za chodem słońca. O dziwo, sumy bynajmniej nie opuszczają tych okolic. Widać to po ich spławach oraz cmokaniu rozbijającym stada drobiazgu. Złości to dziennych sumiarzy - specjalistów od jednej techniki połowu, jednej pory doby i jednej przynęty, ale nie umieją na to nic poradzić...

Kilka razy widziałem pod Sandomierzem, jak na takie łowisko - opuszczone już przez blacharzy - wchodził jegomość posługujący się przemalowanymi na biało shakespearowymi woblerami Big S. Malowanie nie było jedynym udziwieniem tych ogólnie znanych przynęt - miały one jeszcze mocno spiłowane stery, tak aby nie były w stanie zanurzyć się głębiej niż na kilkanaście centymetrów.

Każde ściąganie woblera znaczyło się na wygładzonej przez wieczór powierzchni rzeki dyskretnym odkosem. I oto jegomość niemal za każdym razem miał jedno, niekiedy nawet kilka, sumowych uderzeń. Przy mnie wyjął cztery sumy w ciągu trzech wieczorów. Widziałem to z dość daleka - kiedy podszedłem bliżej, facet natychmiast odpiął woblera i zapiął na agrafce gnoma. Pewnie myślał, że przyjdę tu na następny dzień i będę wahadłówką młócił pełną sumów wodę. Rzecz jasna - bez skutku... Jesienne wirowanie

Nikt nie wie, czy lusoxa rzeczywiście wymyślili Francuzi od Meppsa, w każdym razie to chyba im należy przyznać palmę pierwszeństwa, jeśli chodzi o rozpropagowanie tej przynęty w Europie. Podobnie rzecz ma się z przynętą zwaną suisse - budowaną na tej samej zasadzie, ale i odmiennym kształcie paletki... W Stanach Zjednoczonych jednakże przynęty z obciążeniem z przodu i niewiele ważącym korpusem błyski obrotowej z tyłu, są popularne od dziesiątków lat. Pozwalają one łowić bezzaczepowo w płytkich łowiskach, zaś modele mocno obciążone dają się prowadzić głęboko nad dnem pełnym zawad.

Wielu pstrągarzy używa też ich w niewielkich rzekach z głębokimi dołami. Przynętę tę, dzięki możliwości stosowania sporego obciążenia, daje się błyskawicznie sprowadzić w sąsiedztwo dna, co bywa niezwykle istotne w niedużych jamach.

Mistrzami w łowieniu na przynęty podobne do lusoxa - i tu zaskoczę chyba wszystkich - są spinningiści ukraińscy łowiący w Zbiorniku Kijowskim na Dnieprze. Jest to akwen niewyobrażalnie ogromny - jak wiele rzeczy z tamtej strony Bugu - z głębiami kilkunasto i kilkudziesięciometrowymi. Dużo tam okonia, ale sięgnąć po garbusy nie jest łatwo. Dopóki na Wschód nie trafiły gumowe przynęty, z powodzeniem stosowano tu podobne do lusoxa obrotówki, choć zapewne mało kto zdawał sobie sprawę z istnienia firmy Mepps.

Na wędkarskich bazarkach od lat można zaopatrzyć się w niewiarygodną ilość wzorów. Interesujące są kształty obciążników - znajdujemy tutaj łyżwy, żelazka, kopytka, raciczki, młoteczki, piłeczki rugby i wiele, wiele innych. Ukraińcy ze zdumieniem spoglądają na wzory główek jigowych - słyszałem, jak żartowali na kijowskim targu i dziwili się, że i w Ameryce myślą tak samo jak u nich.

Interesujący jest też nasz rodzimy wkład do lusoxologii - otóż warszawska firma "Sum" także produkowała podobne przynęty... już w latach sześćdziesiątych!